

Paweł Kowal: W odpowiedzi Sikorskiemu z prawej strony

Charakterystyczne, że w debatach o kryzysie pojawia się pokusa, której uległ i Radosław Sikorski - by europejską chorobę zdiagnozować poprzez problemy finansowe.



Charakterystyczne, że w debatach o kryzysie pojawia się pokusa, której uległ i Radosław Sikorski - by europejską chorobę zdiagnozować poprzez problemy finansowe

Podatność Unii Europejskiej na kryzys zaskoczyła euroentuzjastów. Wyobrażenie wielu Polaków o stanie, w jakim znajdzie się nasz kraj po wejściu do wspólnoty rozminęło się z unijną rzeczywistością. Czas prezydencji wpłynął na to, że elity w naszym kraju bardzo bezpośrednio

doświadczają „kryzysowego” charakteru integracji europejskiej. Skoro Polska w rzeczywistości nie może wpłynąć na zmniejszenie skali kryzysu, podstawowym zadaniem elit w naszym kraju jest w tej sytuacji dobra diagnoza jego źródeł i otwarcie debaty na temat przyszłości integracji europejskiej oraz polskiego uczestnictwa w tym projekcie.

Unia Europejska traci na znaczeniu niezależnie od obecnego kryzysu. Słabość demograficzna, spadek tempa wzrostu, osłabienie atlantyckich więzi spowodowały, że dzisiaj chociażby z ust lidera USA częściej niż nazwę któregośkolwiek z tradycyjnych sojuszników na Starym Kontynencie słychać magiczne słowo „Pacyfik”. Oznacza to, że Stany liczą się z sytuacją w Chinach czy innych krajach Azji, zaś Europę zaczynają postrzegać głównie jako cel wycieczek turystycznych. Ten stan rzeczy zaskakuje pewnych siebie Europejczyków.

Charakterystyczne, że w debatach o kryzysie pojawia się pokusa, której uległ i Radosław Sikorski - by europejską chorobę zdiagnozować poprzez problemy finansowe. **Praktycznie nie ma mowy o najgłębszym bodaj w historii kryzysie wartości europejskich, kryzysie rodziny, kryzysie wartości republikańskich, na których została uformowana nowożytna Europa.** Wśród nich w obecnej sytuacji najważniejsze znaczenie mają te, które odnoszą się do kwestii, które zwykle określa się jako „etykę biznesu”: szacunku dla ludzkiej pracy, działania na rzecz przyszłych pokoleń a nie życia na ich koszt. Odnoszą się do elementarnej poczucia więzi z tymi, którzy przyjdą po nas a także szacunku dla zarobionych pieniędzy.

Źródłem kryzysu jest życie ponad stan, przekraczanie w rządzeniu państwami reguł moralnych. Przywódcy w obliczu pokusy wygrania wyborów lub chcąc uniknąć reform zadłużają kierowane przez siebie kraje na poczet przyszłych pokoleń. Takie działania to w kategoriach etycznych jedno z najpoważniejszych nadużyć, powiedzielibyśmy grzech, szczególnie dla polityka, który przyznaje się do inspiracji chrześcijańskich.[1] Pragnienie doraźnego sukcesu nie może usprawiedliwiać działania na koszt tych, o których nie wiemy, czy będą mieli możliwości spłacania długów i w jakich warunkach przyjdzie im żyć.

Państwa będące obecnie w kryzysie, w chwili wstępowania do Wspólnot Europejskich (1981 – Grecja, 1986 – Hiszpania i Portugalia) charakteryzował niższy poziom życia niż w „starej Unii”. W celu jego wyrównania zaczęto rozwijać „wymiar społeczny” integracji europejskiej. W dużej mierze pieniądze z UE zostały wydane na pomoc społeczną, a nie inwestycje i rozwój. W efekcie powstały państwa socjalne bez odpowiedniego fundamentu gospodarczego (odwrotnie niż np. w Niemczech czy Holandii, gdzie rozwój państwa socjalnego był efektem wzrostu gospodarczego). Zakres ochrony socjalnej poszerzano (efekt „kuli śnieżnej” – uprawnienia socjalne dla jednej grupy społecznej powodują roszczenia kolejnych), więc z czasem jego zapewnienie było nie do udźwignięcia przez budżety krajowe. W efekcie państwa zaczęły się zadłużać.

Nie mniej ważnym elementem kryzysu jest deficyt demokracji. Coraz więcej decyzji w UE forsowanych jest już nie tylko przy współudziale Komisji Europejskiej, ale nawet przez niższej rangi urzędników (tj. daleko od legitymacji demokratycznej do podejmowania decyzji) i w

dalszym ciągu ten model jest forsowany. Współgra z tym swoista „przemoc” w narzucaniu rozwiązań, których faktycznym celem ma być przyspieszanie integracji. Jest to możliwe w sytuacji, kiedy faktycznie nie istnieje europejska opinia publiczna. Napędem integracji nie może być mit, utopia; musi być nim rozsądna ocena otaczającej nas rzeczywistości i odnoszenie się do niej na zasadzie zdrowego rozsądku. To dlatego konserwatysta wobec współczesnych dyskusji o przyszłości Unii nie jest skazany na powtarzanie „nie, nie, nie” wobec kolejnych propozycji zmian. Ma raczej obowiązek przyjrzeć się im chłodnym okiem i ocenić, które z nich opierają się na rzeczowej diagnozie, które zaś są realizacją takiej czy innej utopii. Ma też obowiązek pamiętać, że utopijne projekty integracji kontynentu przynosiły w historii poważne konsekwencje. Dzisiaj widać jak opłakane są skutki wprowadzania wspólnej waluty przez kraje do tego nieprzygotowane; rządy wzajemnie oszukują się co do wiarygodności makroekonomicznych danych, nie prowadzą wspólnej polityki ekonomicznej. Wiesław Chrzanowski, zwolennik integracji, pisze: „Projektowany ustrój UE, jeśli nie ma służyć realizowaniu utopii, musi brać pod uwagę, czy i na ile mieszkańcy Europy, pomijając ich związki z państwami narodowymi, stanowią już wspólnotę(...)”[2].

Sięgnijmy więc po pierwszy z brzegu przykład: jeśli proponujemy listy europejskie w wyborach do Parlamentu Europejskiego, to musimy uwzględnić fakt, że większość obywateli Polski nie jest gotowa do wybierania pomiędzy Tannockiem, Brokiem i Saryusz-Wolskim. Jeśli zaś mają decydować wyłącznie wedle kryterium narodowego, to na tej prostej ilustracji widać jak bardzo rację ma Jadwiga Staniszkis, kiedy zwraca uwagę, że pospieszna federalizacja może jedynie pogorszyć relacje polityczne na kontynencie i uruchomić mniej dzisiaj aktywne nacjonalistyczne siły.

Ważnym źródłem kryzysu jest swobodne podejście do zobowiązań międzyrządowych, a nawet umów międzynarodowych, czyli klasycznego mechanizmu współpracy między państwami. Odbywa się to w oparciu o przekonanie, że skoro Unia Europejska jest szczególnym tworem, wymykającym się klasycznym definicjom prawa międzynarodowego, to i tradycyjne jego formy nie muszą być tak wyraźnie stosowane. Nieprzestrzeganie umów w ramach UE prowadzi do poważnego deficytu zaufania, na który składa się nie tylko nieprzestrzeganie przepisów dotyczących dyscypliny finansów publicznych i prowadzenia nieodpowiedzialnej polityki pieniężnej. Przecież to właśnie najmożliwsi promotorzy paktu na rzecz stabilizacji i rozwoju łamali wzajemne zobowiązania, co podczas berlińskiego wystąpienia przypomniał Sikorski. Najtrudniejszą kwestią jest selektywne wykonywanie traktatów, czego Traktat Lizboński jest zapewne najbardziej wyraźnym przykładem: z jednej strony restrykcyjnie stosuje się przepisy, które chronią interesy dużych i bogatych państw, np. prawo imigracyjne, ochrona środowiska, zróżnicowane dopłaty dla rolników; z drugiej dominuje pobłażliwe podejście do niektórych postanowień broniących interesów słabszych państw, w tym Polski, np. solidarność energetyczna a Nord Stream, próba pominięcia systemu instytucjonalnego UE w kontekście ratowania strefy euro (decyzje podjęte przez tandem Merkel – Sarkozy są następnie wpuszczane w „traktatowy kanał legislacyjny” – proces legitymizacji postanowień za pomocą unijnej procedury ustawodawczej), zróżnicowane podejście do kwestii poszanowania praw i wolności obywatelskich (vide: selektywne reakcje na łamanie praw człowieka i deficyty demokracji w Rosji i restrykcyjne podejście pod tym względem do sytuacji na Ukrainie). Kluczowe jest jednak nastawienie w ostatnich miesiącach niemieckiej polityki na omijanie „europejskiej metody”, polegającej na działaniu wspólnotowym

(poprzez Komisję Europejską) na rzecz ustaleń międzyrządowych. Słabość polityczna Jose Manuela Barroso w ostatnich miesiącach wręcz rzucała się w oczy. Z tego punktu widzenia polskie tezy tandemu Tusk-Sikorski nie muszą być odczytywane jako wsparcie niemieckich celów w reformowaniu Unii. Raczej dowodzą próby uniknięcia skrętu procesów integracyjnych w uliczkę międzyrządową, czyli przeniesienia w jeszcze większym stopniu ciężaru procesów integracyjnych z Komisji i wspólnych instytucji na oś pomiędzy głównymi stolicami. W takim wariantcie ku każdej z nich ciążyć będzie jak grono kiści winogron grupa mniejszych krajów.

Można oczywiście powiedzieć, że Niemcy będą miały większy wpływ także w przypadku wzmocnienia Komisji Europejskiej. Tak naprawdę w każdej sytuacji politycznie zyskają Niemcy – trudno bowiem zaprzeczyć ich wzrastającej pozycji na kontynencie. Pierwszym celem integracji w optyce polskiej racji stanu nie może być osłabianie Niemiec. Byłby to swoisty powrót do geopolityki Gomułki i Jaruzelskiego we współczesnym wydaniu. Celem Polski powinno być raczej formatowanie zaangażowania Niemiec i utrzymywanie ich wspólnotowego zaangażowania, „wikłanie” ich w sprawy europejskie i przypomnienie o historycznej odpowiedzialności za bieg spraw niż proste dążenie do ograniczania ich wpływów – dla takiej polityki nie znajdziemy sojuszników. Co najważniejsze rychło okaże się ona nie tylko nieskuteczna, ale wręcz szkodliwa.

Trzy zalety wystąpienia w Berlinie

Przemówienie berlińskie Radosława Sikorskiego uplasowało polskiego ministra spraw zagranicznych na pozycjach skrajnie federalistycznych. Zostało wygłoszone w czasie podejmowania intensywnych prób wychodzenia z kryzysu. Problem z wystąpieniem Sikorskiego polega na tym, że trafiło na wyjątkowo wyjąłowioną w Polsce dyskusję publiczną na temat strategii europejskiej kraju. Reakcja części opozycji w praktyce przynosi jedynie efekt w postaci sygnału, że z Polski ma szansę wyjść jedynie federalistyczna propozycja. Polska jawi się jako kraj europejskiego mitu i utopii przetopienia społeczeństw Starego kontynentu w ciągu jednego pokolenia w zupełnie inny twór. Politycy myślący w inny sposób, opierający się na zasadzie zdrowego rozsądku a nie na kultywowaniu europejskiej utopii, mają obowiązek zabierać głos, by formować stanowisko odmienne od propozycji rządu, ale i dalekie od stawiania jego ministrów przed Trybunałem Stanu. Trzeba pokazać wielu środowiskom w Europie, że polska myśl integracyjna ma wiele twarzy. Centroprawica nie może pozostawić refleksji europejskiej jako własności i specjalności lewicy ultrafederacjonistów.

Konferencja jałtańska na pół wieku ukształtowała Europę, dzieląc ją na dwa obozy. Polska nie uczestniczyła w jałtańskich rozmowach w pałacu w Liwadii, choć poniosła ich konsekwencje. Gdy kontynent ponownie się integrował, próbowano uniknąć tego błędu.

20 stycznia 1990 roku premier Tadeusz Mazowiecki domagał się udziału Polski w konferencji zjednoczeniowej. Konferencja „2+4”, która zadecydowała o połączeniu dwóch państw niemieckich, odbyła się przy

współdziałale Polski – mam na myśli paryską część konferencji w czerwcu 1990. Jesteśmy na kontynencie krajem na tyle dużym i położonym w tak strategicznie istotnej części Europy, że każde zawarte porozumienie istotnie zmieniające relacje polityczne wpływa na sytuację Rzeczypospolitej, niezależnie od tego czy Polska uczestniczy w jego zawieraniu. To powód, by jako część doktryny polskiej polityki zagranicznej przyjąć zasadę uczestnictwa i domagania się prawa do uczestnictwa w sytuacji, kiedy jest nam ono odmawiane. Powinien to być istotny element polskiej racji stanu. Dlatego poddawany był krytyce minister finansów Jacek Rostowski, który nie zdołał dostać się na posiedzenia Rady Ministrów Finansów UE, pomimo że Polska sprawuje prezydencję. Skoro tak, to Sikorski domagający się miejsca dla nas przy stole, gdzie zapadają decyzje o przyszłych traktatach, powinien otrzymać słowa poparcia. Są sytuacje, w których można próbować w podobnych sytuacjach próbować taktyki „wrzeszczącego dziecka” (jak to złośliwie i z dezaprobatą określił Jacek Żakowski). W sprawie Gazociągu Północnego taka taktyka nie dała jednak efektu, choć sam wówczas sądziłem, że należy jej spróbować. Skoro dzisiaj Sikorski stawia na zasadę „uczestnictwa za wszelką cenę”, nie należy odmawiać poparcia tej linii.

Swoje poglądy Radosław Sikorski przekazał jasno – to wyróżnia go pozytywnie na tle europejskiej debaty. Wypowiedział się „tak-tak, nie-nie” w najważniejszych zagadnieniach podnoszonych we wspólnocie. Użycie jako modelu pogładowego konstrukcji politycznej Stanów Zjednoczonych było tyleż ahistoryczne, co wymowne i zrozumiałe. Pozwala to w bezpośredni sposób polemizować z jego podejściem do przyszłości Europy. W pewnym sensie nie ma dzisiaj w polskiej debacie europejskiej nic pilniejszego niż konserwatywna odpowiedź na przedstawioną przez niego wizję. Ale musi być to odpowiedź prosta i zrozumiała, jasno formułująca alternatywne, pozytywne scenariusze.

Nie bez znaczenia jest odrzucenie przez Sikorskiego w Berlinie „rachunku za rozszerzenie”. Żaden dotychczasowy minister spraw zagranicznych III RP po 2004 roku nie ujął tej sprawy tak jednoznacznie. Nie chodzi tutaj tylko o kwestię honorową, ale o konsekwentne odrzucenie argumentu, który używany jest przede wszystkim do perswadowania Polsce, w stylu Jacques’a Chiraca, że jej prawo do zabierania głosu w sprawach europejskich jest w jakiś sposób ograniczone, obciążone hipoteką zadłużenia.

W stolicy Niemiec Sikorski powiedział wprost, że na rozszerzeniu skorzystały kraje zarówno „starej”, jak i „nowej” Unii i poparł to cyframi. To nie w rozszerzeniu tkwią obecne problemy Unii, jak chcieliby to niektórzy widzieć. Sikorski podkreślił, że to Niemcy są beneficjentem zawartych porozumień. Odrzucenie rachunku za rozszerzenie ma jeszcze jedno znaczenie: nie pozwala używać podobnej argumentacji przeciw przyszłym rozszerzeniom. Wnioski są bowiem takie: UE korzysta na włączaniu nowych państw do wspólnoty, na kolejnych skorzystać możemy i my. Zatem doktrynalny sprzeciw w tej sprawie ma źródło albo w źle poinformowanej opinii publicznej ważnych państw UE, która zdaje się odrzucać rozszerzenie jako takie, albo w politycznej niechęci do kolejnej fali rozszerzeń, strachu przed zmianą balansu politycznych sił w Europie. Charakterystyczne zresztą, że gdy przychodzi do problemu rozszerzenia, politycy utopii, którzy tyle mówią o europejskiej opinii publicznej, odwołują się nie do prorozszerzeniowej woli Parlamentu Europejskiego, ale do izolacjonizmów krajowej polityki, właśnie tam upatrując woli prawdziwego demosu.

Unia racjonalna

Niektóre szczegółowe propozycje Sikorskiego mieszczą w logice zdroworozsądkowego podejścia do funkcjonowania UE. Ograniczenie liczby komisarzy to oczywiste posunięcie. Zwiększenie roli Komisji przy jednoczesnym zmniejszeniu jej liczebności przyspieszy podejmowanie decyzji. Możliwe do wyobrażenia jest także połączenie funkcji szefa Komisji i przewodniczącego Rady. Podobnie oczywiste wydaje się żądanie zaprzestania oddzielnego obradowania krajów strefy euro. Prowadzi to bowiem do mnożenia ciał decyzyjnych i pozatraktatowego sposobu decydowania: pierwsze ustalenia dwóch-czterech najsilniejszych państw, potem ich przeforsowanie w grupie euro, gdzie owe decyzje znajdują zatwierdzenia mniej znaczących członków grupy, a potem niemal mechaniczne narzucenie ich całej Unii. W takiej „piramidce decyzyjnej” cały mechanizm unijny sprowadza się do wydłużonej w czasie egzekucji decyzji dwóch-trzech europejskich krajów. Racjonalne jest uznanie, że bliższa współpraca pewnych krajów unijnych w poszczególnych dziedzinach powinna być zagnieżdżona w podstawowych traktatowych strukturach Unii, a nie opierać się narzucaniu im decyzji.

Szczególnym elementem, który należy podnosić powinna być pozornie nieznacząca kwestia siedziby Parlamentu Europejskiego. To nie tylko sprawa oszczędności, ale także sprawdzenia, na ile proeuropejskie Francja lub Belgia są skłonne zrezygnować z goszczenia parlamentu na swoim terytorium. Ta sprawa ma znaczenie symboliczne, ale jest także swoistym „sprawdzeniem” wobec intencji wielu z naszych partnerów w licznych innych sprawach większego kalibru.

Osie sporu

Podstawową sprawą jest określenie osi rzeczywistego sporu z wizją Sikorskiego – nie jest nią przecież ani kwestia miejsca, w którym przekazał swoje tezy, ani czas, w którym to zrobił. Zadaniem jest szybkie odnalezienie sensownej drogi krytyki pomiędzy natrętnym federalizmem a „marszem 13 grudnia”. I na szczęście nie jest to trudne.

Po pierwsze, spór dotyczy odpowiedzi na pytanie, na ile konieczne jest zmienianie Traktatu Lizbońskiego. Decyzja o tym, czy poddawać traktat rewizji lub popierać poszukiwanie innego rozwiązania w ramach Lizbony, powinna być punktem wyjścia do wewnętrznej debaty. O ile Donald Tusk może poza Polską skutecznie korzystać ze swojego silnego mandatu, o tyle w kraju powinien podjąć dyskusję z opinią publiczną, wychodząc

z otwartej pozycji. Dzisiaj brak takiej debaty nie stanie na przeszkodzie realizacji projektów nowych umów, ale w przyszłości musi wpłynąć na ich kwestionowanie. Pomijania głosu opozycji nie tłumaczy radykalna postawa jej części. Za kilka lub kilkanaście lat nikt nie będzie pamiętał o „marszach 13 grudnia”, które dzisiaj wydają się być wygodnym pretekstem dla rządu, by pomijać element wewnętrznej debaty. Za określanie obecnych decyzji jako zdrady odpowiadał będzie także ten, kto dzisiejsze polskie stanowisko pozbawia nawet szansy na budowanie kompromisu nad Wisłą. Legenda „Polskiej Partii Pruskiej” (wedle określenia A. Fotygi) jako motoru uczestnictwa Polski w debacie europejskiej AD 2011 nikomu niczego dobrego nie przyniesie i dlatego

jej powstawaniu należy zapobiegać w imię racji stanu. To jednak wymaga spełnienia jednego warunku: rząd musi uznać, że potrzebuje kogoś oprócz siebie, by porozmawiać o propozycjach, które zgłasza w UE jako stanowisko kraju. Nie jest to oczywiście problem formalnych uprawnień dla działań Sikorskiego i Tuska, ale raczej swoistej legitymizacji politycznej i emocjonalnej w Polsce. Jest oczywiste, że Polska powinna reagować szybko, jednak nie pochopnie. To nie może być sytuacja jak w przedszkolu, kiedy by załapać się na dobrą kompanię trzeba na czas włożyć palec „pod budkę”. Przedstawianie przez rząd oczekiwania działania w ekstraordynaryjnym trybie nie może tłumaczyć podejmowania najważniejszych decyzji dotyczących przyszłego rozwoju Polski bez odpowiedniej debaty i analizy różnych scenariuszy. Za ten tryb działania historyczną odpowiedzialność bierze na siebie rząd Tuska, szczególnie, że Traktat Lizboński był w Polsce przyjmowany w oparciu o szeroki kompromis i w tym samym trybie powinny zapadać decyzje o odstępowaniu od niego czy zmienianiu go. Być może w tym miejscu trzeba kolejne zmiany traktatowe odważnie poddać pod głosowanie w referendum?

Druga kwestia to jednolite zarządzanie polityką gospodarczą i budżetową. Dotyczy to modelu gospodarczego, jaki przyjmie Unia. Wydaje się, że w tym punkcie spór z koncepcją Sikorskiego jest najbardziej zasadniczy. W praktyce mamy do czynienia z dyskusją o tym, na ile ważna jest konkurencja wewnątrz UE. Jasne jest, że słabość współczesnej Unii bierze się właśnie z uśpienia konkurencji wewnętrznej. Jej brak powoduje brak konkurencyjności na zewnątrz, w zestawieniu z Chinami czy USA. W interesie Polski nie leży ujednolicanie podatków. Nie możemy konkurować w infrastrukturze, nie możemy zaoferować śródziemnomorskiego wybrzeża jako miejsca powstania nowej fabryki, nie mamy ani Ikei ani Nokii. Naszą siłą pozostają niskie podatki i niskie koszty pracy. Krótko mówiąc, gdy np.

inwestorzy z Chin szukają miejsca na inwestycję w UE, muszą mieć jakieś przesłanki do zastanowienia się, czy nie opłaca się im działać w Polsce. Oczywiście jest, że wspólne działanie w ramach UE wymaga jakiejś koordynacji polityki gospodarczej. Trudno powiedzieć, jak powinna być ona prowadzona, by nie dawać instrumentów osłabiających konkurencyjność przyszłemu „gospodarczemu rządowi”, którego powołanie postuluje Sikorski. Jak skutecznie zapewnić, że nikomu nie przyjdzie do głowy decydować z Brukseli, Wiednia czy Frankfurtu czy i w jakim stopniu możemy korzystać z energii z gazu łupkowego? Już dzisiaj poszczególne dziedziny gospodarki poddawane są tego rodzaju „formatowaniu”. Aż strach pomyśleć, do jakich mogłoby to prowadzić nadużyć. Lepiej więc nie popierać postulatu powoływania „gospodarczego rządu”, dopóki nie będzie bardzo dokładnie ustalone, co kto ma na myśli. Obecnie wygląda na to, że byłby on jedynie kolejnym batem na wewnętrzną konkurencję w Unii.

Bardziej skomplikowana jest kwestia ujednoczenia parametrów makroekonomicznych budżetu. Tu można rozważyć zgodę. Zakładam, że mówimy o jakiejś kontroli budżetu po jego opracowaniu przez rządy narodowe, a przed uchwaleniem w parlamentach. Podobnie jak inne kwestie w orędziu Sikorskiego i ta sprawa nie jest nowa. Nie tylko dyskutuje się o niej od jakiegoś czasu, ale już istniały procedury, które tego rodzaju kontrolę umożliwiały. Dzisiaj mówimy o ich wzmocnieniu. Pytamy zatem, kto miałby tej kontroli dokonywać. Ekofin? Jakiś specjalny komisarz? Europejski Trybunał Sprawiedliwości? Jaka jest gwarancja, że nie zdarzy się podobnie nieracjonalny komisarz jak liczni krajowi ministrowie finansów? Skąd pewność, że instytucja ponadnarodowa, bardziej oddalona od wyborców, będzie mniej „partyjna” a bardziej ekonomicznie zdroworozsądkowa od podobnych instytucji w państwach narodowych? Oczywiście, że dotyka to kwestii suwerenności. Ale ta już dzisiaj jest podzielona jeśli chodzi o

kształtowanie przez państwa europejskie makroekonomicznych parametrów. Zresztą mamy do czynienia ze swoistą sprzecznością. Z jednej strony rygorizm w stosowaniu zasady suwerenności, z drugiej niemoralne manipulowanie przez rządy danymi i kreatywna księgowość. Skutki takich działań dotyczą przecież nie tylko kraju, który sobie na nie pozwala, ale całej wspólnoty. Zatem rygorizm w odniesieniu do wymagania podawania prawdziwych danych i ograniczania zadłużania na konsumpcję nie musi być sam w sobie zły; ba, może być moralnie uzdrawiający dla wielu polityków. Problem w tym jak zapewnić, że mechanizm badania budżetu nie zostanie na przykład użyty do wprowadzania owych utopijnych projektów towarzyszących integracji. Przykłady? Czy taki „kontroler europejski” miałby prawo nie zatwierdzić budżetu, jeśli chodzi o wypłaty dla nauczycieli, gdyby nie były dochowane zasady parytetu, jeżeliby taki kiedyś zalecono? Albo czy miałby prawo wpłynąć na strukturę edukacyjną państwa, żądając na przykład ograniczenia liczby finansowanych przez rząd wiejskich szkół? Problem nie dotyczy więc tylko prostego „dzielenia suwerenności” ale określenia, na ile państwa mogą się zgodzić, by przy okazji wydzierać im suwerenność w zakresie, w jakim jej się nie wyrzekały, świadomie się nią nie dzieliły. Intuicyjnie wyczuwamy potrzebę postawienia wyrazistej bariery pomiędzy konieczną być może kontrolą parametrów budżetowych a ich nadużywaniem.

Dotychczas debata europejska w Polsce toczyła się wokół kwestii, na ile wpływać mają na wspólną Europę państwa narodowe, a na ile wspólne instytucje. Jest jednak faktem, że te instytucje już istnieją i prowadzą taką a nie inną politykę. Dlatego debata nie może dotyczyć jedynie pytania ile Niemiec, ile Francji, ile Polski w Europie, ale przede wszystkim ile wolnego rynku, konkurencji wewnętrznej itd. Musi dotyczyć w nie mniejszym stopniu jakości tego, co wspólne. Prawica

powinna odnieść do tego te same kryteria, które stara się stosować w polityce narodowej. Trzeba w debacie europejskiej ożywić zasadę „małego państwa”. Przytoczmy Mariano Rajoy Brey’a, niedawnego zwycięzcę wyborów w Hiszpanii i jednego z admiratorów owej powściągliwości w budowaniu biurokratycznej onnipotencji: „Mój model ekonomiczny polega ponadto na państwie, które jest przede wszystkim silne, a dopiero potem wielkie; które nie kieruje społeczeństwem ani mu się nie naprzykrza, które nie wtrąca się w sfery, które do niego nie należą, ale skutecznie dogląda spraw, które rzeczywiście mu podlegają”[3]. W zasadzie zamieniając słowo „państwo” na „Unia” możemy to odnieść do wewnętrznej sytuacji we wspólnocie. Szczególnie, że w dobie kryzysu zasada taniej i ograniczającej się administracji jako warunku rozwoju gospodarki wraca jako jeden z głównych motywów debaty w USA[4], promowana nie tylko przez prawicę.

Trzecia kwestia dotyczy samej zasady federalizmu. Po lekturze przemówienia ministra Sikorskiego rysuje się wyrazisty spór pomiędzy dwiema drogami integracji. Pierwsza prowadzi przez Komisję Europejską - a więc federalizm, który zakłada przeniesienie większej zakresu suwerenności na poziom wspólnotowy, z mniejszym udziałem państw narodowych. Taka konstrukcja grozi dalszym „deficytem demokracji”, jednak zabezpiecza przed nieodpowiedzialną polityką gospodarczą państw członkowskich, ale także Komisji, bo i ona potencjalnie może być nieodpowiedzialna. Polska najczęściej opowiadała się za taką metodą integracji jako zabezpieczeniem przed dominacją największych europejskich potęg.

Integracja poprzez państwa narodowe to tylko pozornie przeciwieństwo modelu stanowego - do tej wersji zdają skłaniać się Niemcy, próbując forsować w polityce gospodarczej ustalenia na wzór traktatu z Schengen. Jednak zgodnie z art. 3 ust 1 pkt c Traktatu o Funkcjonowaniu Unii Europejskiej, polityka pieniężna strefy euro jest kompetencją wyłączną UE. Oznacza to, że tylko UE może przyjmować prawo w tej dziedzinie. Wobec powyższego, wszelkie próby tworzenia regulacji dotyczących strefy euro poza reżimem prawnym (i z pominięciem systemu instytucjonalnego) UE są niezgodne z prawem pierwotnym. Jakie argumenty podnoszone są przeciw temu rozwiązaniu? Integracja według modelu państw narodowych grozi sytuacją, którą eksperci European Council for Foreign Relations określili jako „wielobiegunową Europę”. W praktyce to w ostatecznym rachunku nie tyle dominacja Niemiec, co powtórka XIX-wiecznego „koncertu mocarstw”, w którym poszczególne interesy realizowane będą na podstawie doraźnych sojuszy mniejszych państw z krajami najsilniejszymi: Niemcami, Wielką Brytanią czy Francją. Stąd można zrozumieć niechęć państw „starej UE” do rozszerzania o Turcję czy Ukrainę, ponieważ te kraje ze względu na swój potencjał demograficzny mogłyby się stać niezależnym biegunem (w przypadku Ankary) albo istotnym graczem europejskiego systemu (w przypadku Kijowa). Nieodpowiedzialna polityka zagraniczna formujących się w XIX wieku państw narodowych doprowadziła do powstania Europy dwubiegunowej, podzielonej między Trójprzymierze i Trójporozumienie, co doprowadziło do wybuchu pierwszej wojny światowej. W tym kontekście groźby ministra Jacka Rostowskiego o nowej wojnie w Europie trafiają na pewne historyczne tło.

Zdrowy rozsadek nakazuje wyjść poza modele i odnieść się do praktyki, do stanu integracji, w jakim się znajdujemy. Jest to miks metody wspólnotowej (poprzez wspólne instytucje) oraz międzypaństwowej. W ramach pierwszej powinniśmy poddać krytyce próby poszerzania zakresu regulacji, szczególnie w zakresie gospodarki, i nie zgadzać się na nowe; w odniesieniu do drugiej powinniśmy zabiegać o zachowywanie suwerenności tam, gdzie nie musi być ona oddawana lub preferować model warunkowego zrzekania się jej. Czy jest sens na pytanie odpowiadać „nigdy nie”? Nie ma ku temu powodu, mimo, że nie widać na horyzoncie realnych przesłanek za federacją. Nie ulega jednak kwestii, że dzisiaj trzeba powiedzieć federacji „nie”, a na pewno trzeba tak powiedzieć wyobrażonym Stanom Zjednoczonym Europy, bo to droga ku europejskiej utopii. Zresztą w polskich warunkach jest to raczej pozycja negocjacyjna wobec zwolenników hasła „więcej Europy w Europie” niż realny pomysł na politykę. Trzeba wyzyskać możliwości podpisanych traktatów, tzw. sześciopaku, zrealizować do końca zasady konfederacji, podążając za wolą narodów a nie próbując ją na siłę formować.

Odpowiedź konserwatysty

W odpowiedzi na propozycje Sikorskiego można sobie wyobrazić trzy postawy. Po pierwsze, zgodę na przyspieszenie europejskiego projektu bez względu na jego krytykę i nie zważając na jego już ujawnione mankamenty. Tym charakteryzuje się postawa większości zwolenników federacji.

Można sobie wyobrazić także krytykę z pozycji tradycyjnej nieufności wobec Unii w przekonaniu, że obecnie suwerenność Polski znalazła się w takim stanie, że nie może już podlegać jakiegokolwiek modyfikacji, a kilka lat temu, podczas przyjmowania Traktatu Lizbońskiego, jeszcze mogła. Jest to swoisty „dyskrecjonalny eurosceptycyzm”. Uwikłany jest zresztą w poważny konflikt wewnętrzny, zakłada bowiem, że kiedy do władzy dojdzie „odpowiedni” rząd, to kolejne zrzeczenia się suwerenności na rzecz UE nie są wykluczone (jakby ten rząd „odpowiedni” gwarantował, że władzy już nie odda). W końcu to z usta Jarosława Kaczyńskiego padła propozycja powołania wspólnej europejskiej armii.

Trzecia postawa powinna polegać na spokojnej odpowiedzi, opartej na faktycznym rozeznaniu rzeczywistości społecznej, bez pokusy jej niepotrzebnego „przetapiania”, chociażby w kierunku większego „ukonserwatywnienia”. Potrzeba nowego, zdroworozsądkowego podejścia, które bierze pod uwagę stan faktyczny i nie boi się zmian co do zasady. Jerzy Giedroyc w Autobiografii na cztery ręce pisze "zmieniam taktykę, bo polityka nie jest sakramentem; jeśli chce się ją uprawiać, to trzeba przylegać do rzeczywistości, która się zmienia. Trzeba umieć zachowywać zasady i zmieniać poglądy".

Integracja przez deregulację

Dlatego odpowiedź na pytanie o nowy traktat może być warunkowa, nie musi być jednoznacznie negatywna. Nowy traktat nie powinien być kolejną umową o wszystkim. Czas wrócić do jednej podstawowej rzeczy, na którą starą Europę powinno być stać - do mądrego gospodarowania. Najpierw należy zapewnić więc bardzo konkretny cel – wzrost gospodarczy. Wolność gospodarcza, innowacyjność, transparentne reguły gospodarowania, wolny rynek, wolna konkurencja, ograniczenie interwencjonizmu państwowego powinny być kryteriami oceny nowych pomysłów gospodarczych. Dopiero na tak wypracowanej sile gospodarczej można tworzyć system ochrony socjalnej, którego zakres odpowiada potencjałowi gospodarczemu.

Zamiast tworzenia nowych legislacyjnych bubli unijnych (nadregulacja prowadzi do inflacji prawa, rozrostu biurokracji, komplikuje system prawny, paraliżuje wolny rynek i konkurencyjność) należy uprościć system prawa europejskiego. Stan obecnego prawodawstwa, jak również dualizm porządków prawnych (UE i krajowe), tylko utrudnia poruszanie się po systemie prawnym. Przykładem nadregulacji są unijne postanowienia dotyczące podatku VAT. Obejmują one ponad 10 aktów unijnych o łącznej liczbie ponad 200 stron (nie licząc nowelizacji). Do tego dochodzą akty krajowe, czyli implementacja do krajowego porządku dyrektyw unijnych – to kolejnych kilkaset stron, w tym ustawa (tylko ona ma 199 stron) i kilkanaście aktów wykonawczych. Dopóki piekarz z Warszawy nie będzie mógł otworzyć piekarni w Wiedniu w oparciu o jak najmniejszą liczbę przepisów, nie ma mowy o zdrowej gospodarce. Okazuje się, że to, co było możliwe przed 1918 rokiem ciągle nie jest realne we współczesnej Europie Środkowej. Losy dyrektywy usługowej to żywa ilustracja jak trudno zjednoczonej Europie, tak często aspirującej do wnikania w ludzkie dusze, załatwić proste kwestie dotyczące konkurencji. Podstawą

nowoczesnego myślenia o jednej Europie musi być negatywna zasada ujednolicania regulacji. Ideał powinien być taki, że wszyscy przyjmują za wzór tego, kto w najmniejszym stopniu reguluje, a nie szukają jakiejś średniej.

Pierwszy warunek brzegowy: w zamian za głębszą integrację większa spójność

Warunkiem rozmów o rewizji traktatów w stronę głębszej integracji gospodarczej powinno być ze strony Polski zobowiązanie Unii Europejskiej, najlepiej traktatowe, do utrzymania lub nawet przyspieszenia wysiłków w celu zapewnienia spójności i konkurencyjności technicznej pomiędzy państwami członkowskimi UE. W przeciwnym wypadku dojdzie do nierównomiernego rozłożenia bogactwa i innowacyjności w Unii. Polski 2011 nie stać na przyjęcie zasady „klatka-stop” i utrwalenia po wieczne czasy skali różnicy pomiędzy stopniem rozwoju naszego kraju i starej Unii. Historyczny tytuł do domagania się zadośćuczynienia za zapóźnienie po II wojnie światowej, chociaż w niejednych uszach brzmi staroświecko, pozostaje aktualny. Wstępem do dyskusji o inwestowaniu w badania i nowe technologie powinno być doprowadzenie do sytuacji, w której Polska jest te cele realizować, bo już posiada odpowiednią infrastrukturę. Chodzi więc o jednoznaczne przełamanie bariery infrastrukturalnej, jaka oddziela Polskę od najlepiej rozwiniętych krajów UE. W innym wypadku kraje takie jak Niemcy, Francja czy Wielka Brytania dysponowałyby trwałymi fundamentami wzrostu gospodarczego, czyli odpowiednim przygotowaniem w postaci dróg, lotnisk, poziomu

informatyzacji a także potencjałem do tworzenia wysokich technologii. Natomiast kraje takie jak Polska czy Grecja nadal dostarczałyby jedynie podstawowych produktów i stanowiły rynki zbytu dla państw bogatszych.

Zgodnie ze Strategią Europa 2020, docelowy poziom inwestycji publicznych i prywatnych w badania i rozwój w poszczególnych krajach unijnych powinien osiągnąć poziom 3% PKB. W Polsce jest to jedynie 0,68%, natomiast państwa takie jak Niemcy, czy Francja, mimo że notują na przestrzeni ostatnich lat ujemne bądź niższe od polskich wskaźniki wzrostu PKB, inwestują w działalność badawczo-rozwojową dwukrotnie (Francja) lub trzykrotnie (Niemcy) więcej niż Polska. W perspektywie średnio- i długoterminowej stanie się to prawdopodobnie główną przeszkodą dla trwałego wzrostu gospodarczego w naszym kraju. Jeśli państwa członkowskie byłyby zobowiązane, aby dbać o odpowiedni poziom deficytu i inflacji, to dlaczego nie wymagać od nich dbania o właściwy poziom inwestycji w badania i rozwój? Być może należy od nowa zastanowić się nad ulubionym przez Polaków pojęciem solidarności.

Drugi warunek brzegowy: promesa zgody na rozszerzenie UE

Popieranie przez Polskę rozszerzenia Unii nie jest, jak rozumieją to niektórzy, dążeniem do ekspansji terytorialnej i gospodarczej UE, ale rozszerzaniem przestrzeni stabilności i dobrobytu o dalsze państwa. Integracja nie jest ekspansją, nie jest też nawet rozszerzeniem. Trzeba

ją rozumieć jako ponowne zjednoczenie polityczne kontynentu, zaś dążenie do niej jako naturalny kierunek rozwoju cywilizacyjnego kontynentu. Żaden kraj ani żadne wspólne instytucje nie mają prawa do zamykania drogi rozszerzeniowej, bo to przejaw działania wbrew politycznej naturze Europy, jeśli o czymś takim w ogóle można mówić. Minister Sikorski słusznie zauważa, że Unia zyskała znacznie na rozszerzeniu w 2004 roku, jednak w Berlinie pominął kwestie dalszego rozszerzenia. Proces przyłączenia do Unii krajów Europy Wschodniej powinien być przemyślany. Najpierw należy uporać się z wewnętrznymi problemami Unii, a dopiero potem zrobić krok naprzód. Trwający wiele lat proces akcesyjny może jednak toczyć się równolegle do naprawy finansów Unii.

Trzeci warunek brzegowy: nic nowego w sprawie moralności i obyczajów bez wyraźnej zgody narodów

Dzisiaj, chociaż dzieje się to wbrew uregulowaniom i deklaracjom, zwolennicy mitów europejskich korzystają z każdej okazji, by kształtować ideowy wizerunek liberalno-lewicowej Europy pod pretekstem innych kwestii: głodu, walki z chorobami itd. Ta praktyka, której dotychczas nie postawiono odpowiedniej tamy, wywołuje nieufność. To dlatego błado wygląda propozycja Sikorskiego, by to „stanom”, jak nazywa on państwa europejskie, pozostawić kwestie. Każdy dzień praktyki wskazuje bowiem na coś innego. Powstaje więc pytanie o mechanizm, na jakim odpowiedzialnie można oprzeć gwarancję, że kwestie religii, moralności nie staną się ofiarą utopi równości, równouprawnienia itd.

Podsumowanie

Polska nie może pozostać w rozdebatowanej Europie jedynie z propozycją Radosława Sikorskiego, bo nie jest to jedyna droga do sukcesu UE. Trzeba przekłuć pychę brukselskiej biurokracji i obalić pogląd, że jest ona warunkiem koniecznym dalszych procesów rozszerzenia. Ich przewodnikiem powinna być bowiem nie sfera wysoko opłacanych i oderwanych od rzeczywistości urzędników, ale zdrowy rozsadek, obserwacja społeczeństw Europy i wyciąganie wniosków z ich oczekiwań. Koncepcji federalistycznej trzeba przeciwstawić aktywny realizm odnowionej konfederacji. Mitom i utopiom na szczęście sama da radę żywa rzeczywistość społeczna, która wyrazi się w demokratycznych wyborach narodów. Politycy muszą tylko zapewnić, że to prawo pozostanie narodom w pełni zagwarantowane i nikt się nie odważy się ograniczać go w imię swoich marzeń.

Wystąpienie wygłoszone 2 grudnia 2011 w Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego w Warszawie

[1] Por. Jacek Saryusz-Wolski, Rachunek sumienia polityków wiernych chrześcijańskim wartościom, <http://tygodnik.onet.pl/32,0,68323,rachunek> (odczyt 2 grudnia 2011)

[2] Wiesław Chrzanowski, Suplement. Teksty własne, wywiady, Arche, Sopot 2011, s. 49.

[3] Mariano Rajoy Brey, Projekt gospodarczy dla przyszłości Hiszpanii. Wystąpienie sekretarza generalnego hiszpańskiej Partii Ludowej, Madryt, 11 listopada 2003, MPP, nr 1/2004, s. 120

[4] Pro.: Bill Clinton, Back to Work. Why We Need Smart Government for a Strong Economy, New York 2011